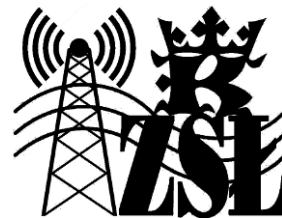


MARGINES



Odwiedzamy zmarłych i świętujemy niepodległość

szkoła

uczniowie

prasa

Listopad 2012



WSTĘPNIAK

kastel

Witam Was kochani w kolejnym listopadowym numerze miesięcznika **MARGINES**. Listopad to jesień w pełni i zbliżająca się zima. Hitami tego miesiąca są oczywiście Święto Zmarłych, próbne matury oraz na zakończenie Andrzejki i coroczne lanie wosku (oraz wody przez redaktora naczelnego). Po tym wstępie przechodzimy do konkretnych, czyli tego co jest w najnowszym numerze gazety.

Standardowy, niezmiennie od czterech lat dziennikarz, felietonista oraz laureat Pulitzera – Wojciech Gajda w swoim nowym artykule opíše Polaczków oraz ich patriotyczne podejście do wszystkiego. Ponadto nie zabraknie oczywiście materiału dla naszych spragnionych sensacji Czytelników opowiadań. Storyteller oraz Milla. Powiedźcie, kto z Was namiętnie zbiera numery „Marginesu”, bo lubi cykl naszych opowiadań? Na samo zakończenie oczywiście – JA! Najlepszy, najwspanialszy, przystojniak (ladies, how u doin’?) dziennikarzyna, recenzent znający się na wszystkim, zwłaszcza na szybkich kobietach i pięknych samochodach opisuje seriale, filmy i muzykę (opisywałbym także gry, ale Hubcio „wjechał mi na kwadrat”).

Oczywiście są tutaj jeszcze różne różności, każdy znajdzie coś dla siebie. Łapcie najnowszy „MARGINES”, dbajcie o siebie, ubierajcie szaliki oraz odrabiajcie zadania z matematyki. Pozdrowki!

PS. Specjalnie z myślą o Was, w tym numerze powróciły krzyżówki (miejmy nadzieję, że na stałe), są tuż obok tego tekstu, miłego rozwiązania. :-)



Co w numerze?

ZSŁ News	s. 3
Przedświąteczny szal zakupów	s. 3
Targi książki w Krakowie	s. 4
Andrzej i jegomość	s. 4
„Jeszcze Polska nie zginęła...”	s. 5
Czym jest dla nas 1 listopada	s. 6
Miłość występuje tylko w liczbie pojedynczej	s. 6
Milla	s. 7
Wyprawa na Orlą Perć	s. 8
Narzekania ciąć dalszy	s. 9
Nauka w domu	s. 10
Gramy!	s. 10
Współczesny patriotyzm	s. 11
Jak utrzymać się z pszczelarstwa...	s. 11
Pobawmy się fotografią – cz. 1	s. 12
Z kronik dysku	s. 12
Przegląd serialowy	s. 13
Recenzja muzyczna	s. 14
Recka filmowa	s. 14



Gazeta Szkolna ZSŁ
Nakład własny

Redakcja w składzie:

Paweł Kastelik
Wojciech Gajda
Hubert Pięta
Anna Oleś
Łukasz Ożóg
Damian Hanusiak
Paweł Górszczak
Renata Makuch
Wiktor Kaim
Anna Karez
Tomek Nowinski
Maciek Pietrzyk
Artur Kawala
Mateusz Bogusz

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz
e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: http://tnij.org/margines_zsl



MARGINES
Gazeta Szkolna

ZSŁnews

Wojciech Gajda

KONIEC ROKU (NIESTETY DOPIERO KALENDARZOWEGO)
ZBLIŻA SIĘ MAŁYMI KROCZKAMI. TYMCZASEM W SZKOLE...

Niebywała **SENSACJA!** Kolejne wydanie rubryki „ZSŁnews” w szkolnej gazecie „Margines” rozpoczynamy od informacji, która ucieszyła wszystkich uczniów naszej szkoły: powrócił „szczęściarz”! Dla niewtajemniczonych: nieopodal pokoju nauczycielskiego, na pierwszym piętrze głównego budynku, umieszczono nowy wyświetlacz, który każdego dnia staje się wybawcą dla posiadających wybrane numery w dzienniku uczniów. Organizatorom tegoż przedsięwzięcia serdecznie dziękujemy, a jednocześnie informujemy, że zdążyli w ostatniej chwili – w podziemiach mówiło się już o szykowanym strajku i proteście w związku z brakiem tegoż przywileju przez tak znaczący okres...

Mamy już listopad... Ba, nawet pierwszy śnieg za nami, co na przełomie kilku ostatnich lat nie jest żadną oczywistą kwestią. Jednak w tym roku szkoła całkiem inaczej wkomponowuje się w otoczenie za sprawą zbliżającego już ku końcowi remontu. Barwne kolory budynku, nowe plastikowe okna oraz ocieplenie, które podobno ma sprawić, że tegoroczną zimą widok uczniów siedzących na zajęciach w kurtkach/płaszczach i rękawiczkach ma być rzadszy... Pomimo tak wielu zmian uwaga większej części społeczności szkolnej skupiona jest na tym, kiedy przed wejściem głównym pojawi się nowy daszek i jakież wywoła on wrażenie. Czy spełni oczekiwania? Miejmy nadzieję, że przekonamy się o tym wkrótce.

Na załączonym do tekstu zdjęciu mamy okazję zobaczyć Pawła Typę z kl. 1 Ee, który wyłowił najbardziej okazjonalną rybę (półtora kilogramowego karpia!) podczas XIV Spinningowych Mistrzostw ZSŁ organizowanych przez dyr. Tadeusza Piskowskiego oraz prof. Przemysława Cienkosza. Serdecznie gratulujemy, a pozostałych zachęcamy do udziału w wędkarskich mistrzostwach w przyszłości.

Wspomniany już listopad przywitał nas długim, czterodniowym weekendem. Niestety, nie mamy dobrych wiadomości – teraz pozostaje nam już „orać” aż do samych świąt Bożego Narodzenia. Jedynym pocieszeniem jest fakt, że po przerwie świąteczno-noworocznej wrócimy do szkoły na niespełna dwa tygodnie, by potem udać się na zasłużone ferie zimowe. Warto więc przeżyć do drugiej połowy grudnia. A z drugiej strony... Za święto przypadające na dzień wolny od szkoły (tak jak Święto Niepodległości) powinien przysługiwać nam dodatkowy dzień wolny od szkoły. W ramach zadośćuczynienia. Ale niestety, nie jest tak kolorowo, więc – do przeczytania w grudniu!



foto: dyr. T. Piskowski

Przedświąteczny szal zakupów!

sowilo

SZKODA, ŻE JESZCZE NIKT NIGDZIE NIE SPRZEDAJE CUKROWYCH BARANKÓW I CZEKOLADOWYCH ZAJĄCZKÓW. PRZECIEŻ DO WIELKIEJ NOCY TAK MAŁO CZASU, NAJWYŻSZA PORA NA PRZEDŚWIĄTECZNE ZAKUPY!

Nudne popołudnie, może wczesny wieczór, drugi listopada. Telewizor włączony na pierwszym lepszym kanale, któryś z nadawanych cyfrowo. W pewnym momencie mają uwagę przykuwa choinka, która, z nie wiadomo jakiej racji, pojawia się w jednej z reklam, a potem ktoś coś zaczyna opowiadać... o DOMESTOSIE! Jeszcze wszyscy ludzie nie wrócili z cmentarzy, jeszcze przed nami półtora miesiąca do kalendarzowej zimy, a tu już święta Bożego Narodzenia?

Kilka dni później (w dniu, w którym piszę ten artykuł) widziałam reklamę, w której święty Mikołaj zachwalał serwis Ceneo. Jeszcze w październiku przewinęła mi się przez ręce ulotka z Tesco z reklamą drzewek świątecznych. W Selgrosie stoją już przy samym wejściu regały z bombkami i innymi ozdobami, a w Lidlu można kupić czekoladowe Mikołaje. Jakiś czas temu głośno było w mediach, że w brytyjskich marketach Tesco już z końcem wakacji pojawiły się pierwsze reklamy i towary bożonarodzeniowe. Lekka przesada?

Zawsze wydawało mi się, że gdy w telewizji pojawia się św. Mikołaj popijający wystrzałowy napój bąbelkowy i widać wielkiego czerwonego tira z melodią „coraz bliżej święta...” w tle, to znaczy, że już faktycznie za niedługo będą święta, że można wycekiwać pierwszego śniegu, Kevina samego w domu, gwiazdki, Wigilii, prezentów, wolnego od szkoły. Ale teraz, gdy widzę zarówno bożonarodzeniowe reklamy, jak i kartkę z kalendarza z datą „piąty listopada”, to odnoszę dziwne wrażenie, że chyba coś jest nie tak (zwłaszcza, że pierwszy śnieg spadł już dawno i zdążył nawet stopnieć). W poprzednich latach tak nie było albo ja byłam zbyt młoda i ślepa, by to zauważać.

O Bożym Narodzeniu nie mówi się jeszcze w szkole, nie mówi ksiądz w kościele. Mówią za to w telewizji, radiu, Internecie, prasie, na billboardach. Wszyscy chcą nas w ten sposób do czegoś nakłonić, zachęcić do kupna tego czy owego (promocja świąteczna!), wszystko kręci się wokół wydawania naszych pieniędzy. Wielka machina biznesu nakręcana od jednego święta do drugiego. Szkoda, że jeszcze nikt nigdzie nie sprzedaje cukrowych baranków i czekoladowych zajączków. Zamiast coś robić dla dobra ludzi, oni tak naprawdę chcą jak najwięcej zarobić naszym kosztem. Bo jak tu wytłumaczyć małemu dzieciakowi, że mamusia nie kupi mu w październiku tej zabawki pod choinkę, skoro on płacze i tupie nóżkami przed sklepową półką? Zmienia się w ten sposób wartości, jakie powinny nieść za sobą święta. A argumenty, że to dla naszego „dobra”, bo jak teraz zrobimy część bożonarodzeniowych zakupów, to później przed samymi świętami wydamy mniej, są po prostu żałosne (wszyscy wiemy, że tak nie będzie).

A wiecie co jest teraz w tym najsmutniejsze? Że chociaż w mediach święta są „blisko”, to w rzeczywistości przed nami jeszcze wiele długich dni chodzenia do szkoły zanim udamy się wszyscy na zasłużone tygodniowe wolne. Nim usiądziemy przed wigilijnym stole, zaśpiewamy kolędy czy odpalimy fajerwerki w noc sylwestrową, to zdążymy jeszcze napisać niezliczoną ilość sprawdzianów z matematyki i zarobić dziesiątki ocen. Wesołego! :)

Targi książki w Krakowie

Wojciech Gajda

KOLEJNY ROK, KOLEJNA EDYCJA WYDARZENIA PROMUJĄCEGO CZYTANIE KSIĄŻEK. CO DZIAŁO SIĘ TYM RAZEM?

Targi Książki w Krakowie, które odbyły się w dniach od 25 do 28 października bieżącego roku to już szesnasta edycja wydarzenia promującego wszelkiego rodzaju książki, różnorodnych autorów. Co roku organizatorzy przeogromnej wystawy przygotowują dla nas nie tylko stoiska znanych wydawnictw i popularnych autorów, ale także miejsca, w których mamy szansę zapoznać się z czymś zupełnie nowym, dotąd nam nieznanym. To wydarzenie to nie lada gratka dla miłośników literatury, którzy w tych dniach mogą zdobyć autografy wielu wymarzonych przez siebie gwiazd, bowiem w hali targowej przy ul. Centralnej w Krakowie organizowane są nie tylko stoiska z możliwością zakupu książek po bardzo atrakcyjnych cenach, ale także spotkania, prezentacje i wykłady autorów, którzy zdradzają sekrety tworzenia swoich powieści czy chcą podzielić się z czytelnikami swoimi wrażeniami dotyczącymi tego procesu.

Z każdą następną edycją pobijany jest kolejny rekord ilości osób, które odwiedzają targi. Podczas 16. Targów Książki do hali zawitało ponad 34 000 osób, często nie tylko z Krakowa, ale z wielu zakątków naszego kraju. W ciągu zaledwie czterech dni z czytelnikami spotkało się ponad 500 autorów, których niespełna wszystkich wymienić. Jednak wśród najgorętszych nazwisk, które rozdawały autografy swoim fanom, pojawiły się: Andrea Anastasi (trener reprezentacji Polski w siatkówce), Wojciech Cejrowski, Maria Czubaszek, Anna Dymna, Szymon Hołownia czy Krzysztof Hołowczyc. Znanych i lubianych osób, które wydały swoje – mniej lub bardziej ambitne – książki, było znacznie więcej.

Trzeba jednak przyznać, że nie w plejadzie gwiazd tkwi główny urok targów, które przyciągają dziesiątki tysięcy lubiących czytać Polaków, lecz w całej idei tego wydarzenia. Nikt nie ukrywa, że ilość ludzi czytających książki w naszym społeczeństwie rażąco kurczy się na przestrzeni ostatnich lat. Takie przedsięwzięcie pokazuje, że czytanie może być żywszym zajęciem niż uprawianie sportu, a emocje towarzyszące chęci zdobycia jakiejś pozycji książkowej mogą zastąpić nawet te, które odczuwamy podczas oglądania horroru. A po zrobieniu kilku kilometrów dookoła hali, z ciężkimi torbami należy wrócić do domu i w jesienno-zimowe wieczory zrelaksować się przy książce, którą zakupiliśmy nie w zwykłej księgarni, lecz w miejscu pełnym ludzi pasjonujących się literaturą.

Andrzej i Jegomość Hubcio

WSZELKIE PODOBIENSTWO DO KOGOKOLWIEK JEST ZAMIERZONE, PONIEWAŻ HISTORIA WYDARZYŁA SIĘ NAPRAWDĘ.

Pewnego pochmurnego dnia Andrzej postanowił wybrać się gdzieś. Standardowo sprawdził sobie autobus na dni powszednie, a nie sobotę, więc gdy doszedł na przystanek, to miał jeszcze z 15 minut czekania. Zadowolony stoi sobie i obserwuje otoczenie. A to jakiś samochód przejedzie, a to ktoś przebiegnie. Standard. Po paru minutach zaczęło padać, więc Andrzej otworzył parasol. Nagle ulicą idzie Jegomość. Deszcz totalnie zmoczył jego ubranie (ciekło z niego więcej wody niż z nieba), ale ten dziarsko powolnym krokiem szedł przed siebie. Lekko chwiejny krok, czterodniowy zarost, pomierzwiłone włosy i klasyczna wojskowa kurtka, o której więcej dowiedzieć się dalej. Ot, średnia klasa żuła. Jegomość przeszedł obok Andrzeja i udał się w stronę monopolowego. „No tak, gdzie w sobotę może taki ziomeczek pomykać”. Minęło parę minut. Autobus nie przyjeżdża, pewnie zaskodziło mu te parę kropelek deszczu. No ale nic, nasz bohater dziarsko stoi pod parasolem na przystanku. Nagle Jegomość wychodzi z wiadomego sklepu, lecz w rękach nie ma nic, a ustach trzyma lizaczka. „WTF! Po lizaka poszedł? No nie wierzę!” Cuda się zdarzają. Ale gdy kłoszardzik podszedł bliżej, widać było wystającą flaszczkę z kieszeni kurtki. „Heh, co ja sobie myślałem...” W pewnym momencie Jegomość stanął przed Andrzejem, a ten popatrzył mu głęboko w oczy. Na czterodniowym zarostie widać było lekko przyschnięte „gile” z noska i zaropiałe oczka. No ale każdemu się zdarza. Pan żuł się odezwał.

- Popatrz na moją kurtkę. Takie rzeczy, wojskowe, prawdziwe, kiedyś robiono. Jak byłem w armii, to takie rozdawali. Taką wojskową, prawdziwą, jak kiedyś robiono. I ja ją dostałem. Znaczący, musiałem dostać, bo byłem w wojsku.

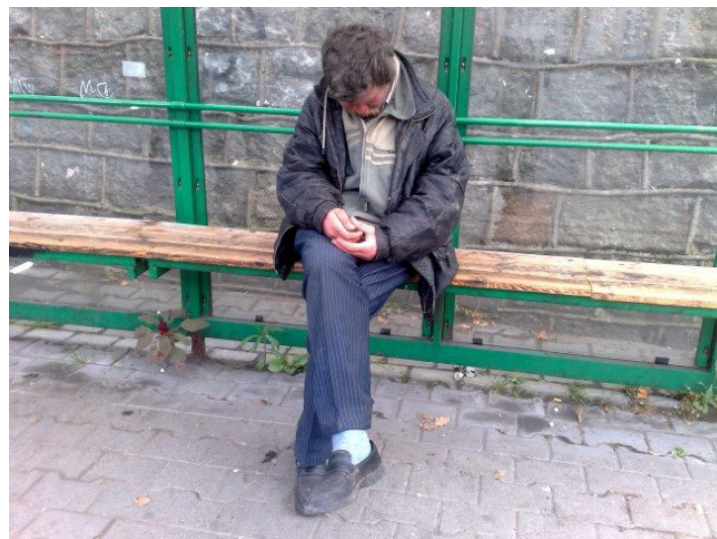
-To fajnie – rzekł Andrzej.

- No tak! I to jest porządna rzecz! Popatrz, jaki materiał. Cienki, ale ciepły! Ciepły, ale nie do końca! Kiedy zimno to ciepło, a kiedy ciepło to zimno! A wiesz, co jest najlepsze? Jest prawie wodoodporna. Jak już nasiąknie wodą, to więcej nie przyjmuje! A nie to co teraz, trochę popada i człowiek cały mokry.

- Naprawdę bardzo fajnie.

-Wiem. Dobra, idę, do zobaczenia.

Jegomość udał się stronę domu/meliny/łęk. „Jak przemoknie, to więcej wody nie przyjmie? Heh, prawie jak moja gąbka.” Autobus przyjechał, Andrzej zapakował się do środka, rozsiadł się wygodnie i ruszył w stronę miasta.



Istnieją po to, żeby czytać książki...
Clare Morrall

16. Targi Książki w Krakowie



25-28
października
2012
Kraków

Targi w Krakowie
www.książka.krakow.pl

targi

„Jeszcze Polska nie zginęła...”

Wojciech Gajda

DZISIAJ PODZIELE SIĘ Z WAMI ROZTERKAMI DOTYCZĄCYMI PATRIOTYZMU POLAKÓW. A WŁAŚCIWIE JEGO BRAKU...

Listopad jest miesiącem, w którym najczęściej w społeczeństwie polskim porusza się temat patriotyzmu Polaków. Wszystko za sprawą Święta Niepodległości obchodzonego w naszym kraju jedenastego dnia tegoż właśnie miesiąca. Czy data ta dla Polaków jest faktycznie istotna, czy może święto to jest jedynie kolejną okazją do odpoczynku, za sprawą dnia wolnego od szkoły i pracy? A może nasz naród ma po prostu mylne pojęcie patriotyzmu i stąd zatacza błędne koło, często używając symboli narodowych w niewłaściwy i niegodny sposób?

W życiu codziennym naszego społeczeństwa na próżno szukać oznak patriotyzmu. Gdy ten już, jakimś cudem, nam się objawia, zazwyczaj dzieje się to przy okazji komercyjnych wydarzeń. Wtedy to całe wielkie oddanie Polsce jest ewidentnie sztuczne i naciągane, jak często nasze ego. Z sondażu przeprowadzonego przez serwis Interia.pl wynika, że 74% Polaków czuje się patriotami. W mojej głowie pojawia się tylko jedno pytanie: co tej większości populacji naszego narodu daje podstawę do tego, by za oddanego ojczyźnie się uważać? Pozostaje to wielką tajemnicą. Niepodważalne jest natomiast to, że wbrew tym badaniom, prawdziwych patriotów w naszym kraju jest, podobnie jak katolików, na lekarstwo. Serwis „Wirtualna Polska” przeprowadził z kolei sondaż, w którym czytelnikom zadano pytanie: „Czy 11 listopada – Święto Niepodległości – to dla Ciebie ważne święto?” Jak widać na załączonym obrazku i tutaj ankietowani zdecydowanie częściej twierdząco odpowiedzieli na zadane pytanie. Niestety ich słowa nie są zgodne z czynami, co łatwo zauważyć każdego roku w dniu tego święta. Najczęściej jest ono wykorzystywane do organizowania sobie przedłużonych weekendów i urlopów (choć w tym roku takie osoby przez układ kalendarza niestety nazbyt wiele sobie nie odpoczną), w trakcie których nawet ułamek sekundy nie jest poświęcany na obchody rocznicowe związane z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Chociaż bywają także w naszym kraju takie skrajności, które w dniu tego święta organizują wielkie wiece i marsze ku pamięci wydarzeń historycznym, tworząc piękny obraz oddania ojczyźnie. Niestety cały ten czar pryska w momencie, gdy wszystko to przeradza się w regularną bitwę między uczestnikami takich pochodów, ze względu na różne poglądy polityczne.

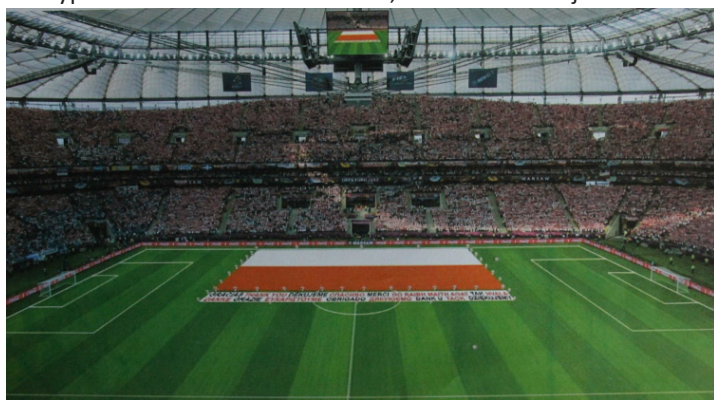
Testem dla patriotyzmu Polaków była także w kwietniu 2010 roku katastrofa smoleńska i test ten nasze społeczeństwo, mówiąc kolokwialnie, oblało. Choć początkowo wydawało się, że naród nasz zjednoczył się w tej trudnej sytuacji, a w oknach milionów domów zawisły biało-czerwone flagi i fotografie tragicznie zmarłej pary prezydenckiej, wszystko zakończyło się tradycyjną już dla naszego kraju międzynarodową kompromitacją. Poprzez protesty w sprawie pochowania prezydenta wraz z małżonką w krypcie na Wawelu w Krakowie, oskarżenia Rosjan o celowe



http://www.fagor-gastro.pl/upload/image/mapa_polska.gif

spowodowanie katastrofy, po walkę o krzyż przed Pałacem Prezydenckim... Na próżno szukać wśród tych wszystkich budzących kontrowersję wydarzeń szczerego patriotyzmu. Powtórkę mało poważnego zachowania względem symboli narodowych i zwyczajnego wycucia dobrego smaku mieliśmy możliwość oglądać w całym otoczeniu w czerwcu tego roku, kiedy to w Polsce organizowane było EURO 2012. Rzekomo odmieniona kadra polska w piłce nożnej miała tym razem naprawdę osiągnąć wiele w tych mistrzostwach. Zmotoryzowani przedstawiciele naszego narodu dosłownie obkleili i obwiesili swoje samochody flagami, trzymając kciuki za naszych piłkarzy. Gdy dzień po meczu Polacy zmierzali do miejsca swojej pracy, wspomniane chorągiewki wypełniały już kosze na śmieci, a po tym pięknym obrazku zjednoczenia i wiary nie było już najmniejszego śladu. Jakież to polskie...

Polacy nie doceniają swojej historii, a bezapelacyjnie to z niej powinien wywodzić się nasz patriotyzm i przywiązanie do narodu. Może po prostu wolimy patrzeć w przyszłość, niżeli w przeszłość? Z drugiej jednak strony, nikt nie ukrywa, że w nawyku mamy narzekanie, więc może gdybyśmy bardziej skupiali się na tym, co już za nami i jak silny był nasz naród, mielibyśmy mniej powodów do marudzenia w teraźniejszości? Jedno, według mnie, na chwilę obecną jest pewne: patriotyzm to cecha charakteru – jeśli nie ma się go we krwi, nie da się go nauczyć. A do tego, by nasz naród mógł uważać się za przywiązany do ojczyzny, jeszcze bardzo daleka, skomplikowana droga – tym bardziej, że większość żyje w przekonaniu, że wszystko jest w należytym porządku i nic nie trzeba zmieniać...



Czy 11 listopada - Święto Niepodległości - to dla Ciebie ważne święto?

Tak 64%

Nie 30%

Nie mam zdania 6%

Łączna liczba głosów: 21070

http://i.wp.pl/a/f/jpeg/18815/ankieta_niepo400.jpg

http://d.naszemiasto.pl/k/r/Za/59/4feb0d0f0567b_o.jpg

Czym jest dla nas 1 listopada?

Renata Makuch

PO CO TO WSZYSTKO JEST? DZIEŃ WOLNY CZY COŚ WIĘCEJ? ODPOWIEDŹ PONIŻEJ.

Pierwszego listopada obchodzony jest dzień Wszystkich Świętych, potocznie znany jako Dzień Zmarłych. Tego dnia, częściej niż zwykle wspominamy i odwiedzamy tych, których zabral nam los i modlimy się w intencji znanych i nieznanym świętych. Tradycyjnie na Wszystkich Świętych odwiedza się groby bliskich, zapala znicze, stawia kwiaty i odmawia modlitwy. To znak, że pamiętamy o tych, których już wśród nas nie ma. Lecz niestety dla większości z nas ten dzień jest tylko dniem odpoczynku od pracy, szkoły. Każdy idzie na cmentarz z takiego jakby obowiązku lub z przyzwyczajenia, bo co roku się chodzi. Chyba nie o to w tym wszystkich chodzi, prawda?

Dzień Zmarłych jest okazją do odwiedzenia grobów bliskich, powspominania, otoczenia ich modlitwą. Gdy zapalałam znicz na grobie dziadka, obok mnie była kobieta, siedziała nad czymś grobem i mówiła sama do siebie, odchodząc płakała. Po jej odejściu spojrzałam na datę śmierci tej osoby. Był to jej mąż, bez którego musi żyć już od roku. To bardzo przykry widok. Tak wielu ludzi nie radzi sobie ze stratą bliskich i w różne sposoby próbują sobie jakoś z tym uporać.

Odwiedzając cmentarz wieczorem, możemy zauważyć wielką różnicę w jego wyglądzie w porównaniu do dnia codziennego. Cały pięknie oświetlony, nie ma grobu bez znicza. Przechodząc między grobami, można poczuć pewien klimat, nastrój jest bardzo melancholijny i skłania do przemyśleń. Siadając przy grobie babci, lubię patrzeć na płomienie ognia tłące się w kolorowych zniczach. Jednak nawet one w pewnym momencie zgasną. Każde ludzkie serce



kiedyś przestanie bić, ale ktoś już kiedyś powiedział, że człowiek dotąd będzie żył, dopóki nie zginie w sercach i pamięci innych. Wszystko ma swój początek i koniec. Nieliczne reguły gry pozostają niezmienne.

Każdy powinien zadać sobie choć trochę trudu, aby odwiedzić groby bliskich, lecz nie tylko z obowiązku. Warto zastanowić się nad sensem tego święta. Wielu z nas nie czuje powiązania ze zmarłą rodziną, przeważnie dzieje się to przez nieznanie danego członka rodziny, który zmarł przed naszym narodzeniem lub byliśmy za mali, żeby pamiętać. Być może dzień Wszystkich Świętych jest dobrą okazją do zapytania rodziców czy dziadków o kogoś? Może warto poznać czyjąś historię, dowiedzieć się czegoś o swoim krewnym? Tego roku ja tak zrobiłam i szczerze mówiąc, nie żałuję, chyba jedynie tego, że nie zrobiłam tego wcześniej.

Rozdział ??

Ona. Bezwiednie przegląda najpopularniejsze blogi o modzie. Na sobie ma tylko czarne koronkowe figi, a jej piękne, zmysłowe ciało zdobi perfekcyjnie wykonany irezumi, tradycyjny, japoński tatuaż. Angela w dalszym ciągu wspomina ostrą wymianę zdań, między nią, a Wiktorem, która miała miejsce tej pamiętnej nocy.

- Kiedyś byliśmy tak blisko... — westchnęła, usiadła w pozycji lotosu i pogрузzyła się w głębokiej medytacji.

Środa wieczór, dwa dni wcześniej...

Zaprowadziła go w to miejsce, by uspokoić artystyczną potrzebę Wiktora na nakręcenia czegoś ambitniejszego. Ostatnimi czasy był cieniem samego siebie, niemożność odnalezienia szczęścia w pracy zbyt znacząco wpływało na ich wzajemne relacje, a ona - co tu dużo ukrywać kochała seks.

Las pod Warszawą, w którym od godziny się ukrywali, przez kilkadziesiąt lat był miejscem spotkań Bractwa Czternastu — sekty religijnej, w skład której wchodziły najważniejsze osobistości z życia Warszawy. Jako córka znanego japońskiego biznesmena Kirishimy, będącego na szczycie tej organizacji, od dziecka była zaznajomiona

z praktykami ojca. W swoim czasie stała się nawet jedną z ważniejszych postaci, jednak w porę udało jej się dostrzec, w jak dużym bagnie się znalazła. Od momentu jej odejścia nie było nocy, kiedy nie wracałyby do niej okru-

Miłość występuje tylko w liczbie pojedynczej storyteller

JESTEM ANONIMOWYM PISARZEM. OD DZIECIŃSTWA INTERESUJĄ MNIE PSYCHOLOGICZNE PODŁOŻA PRZEMOCY I PIERWOTNE INSTYNKTY. ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ NASZEGO ŻYCIA TO WALKA Z DEMONAMI, ZNAJDUJĄCYMI SIĘ GDZIEŚ WE WNĘTRZU. NIE, NIE JESTEM PSYCHOPATĄ - JESTEM STORYTELLER.

ciństwa, jakich sama się dopuszczała. Możliwość zrewanżowania się ojcu, za zniszczenie dzieciństwa i nakręcenie dokumentu, ujawniającego ich brutalne praktyki była dla Kirishimy prawdziwym ukojeniem ducha. To właśnie ta zemsta nie pozwoliła Angeli na odkrycie wszystkich kart przed jej ukochanym, nie mogła ryzykować na jego wycofanie się z filmu.

- Ile jeszcze mamy czekać? Nie powiedziałaś mi nawet, co tu tak naprawdę ma się odbywać. — Wiktor okazywał zniecierpliwienie.

- Daj mi jeszcze pół godziny, za moment przekonasz się, że było warto. — skwitowała Angela.

- Już jadą, przygotuj kamerę.

I faktycznie, w przeciągu paru minut na niewielką polanę zjechało się około trzydziestu markowych samochodów, z których wyłaniały się po kolei osoby z pierwszych stron tabloidów, aktorzy, muzycy, ludzie biznesu. Pierwszą rzeczą, jaka wprawiła Wiktora w osłupienie nie była jednak sama ich obecność, doskonale zdawał sobie sprawę, z kontaktów ojca jego kobiety, to co sprawiło, że jego kamera zaczęła drżeć, były ich stroje. Każdy z kilkudziesięciu ubrany był w ciemnobrązowy habit. Spośród nich wyróżniali się, ci którzy mieli doszyte krwisto czerwone peleryny. Wszyscy przeszli kilkanaście kroków dalej, zaczynając przygotowania. Mężczyźni wyciągali z bagażników noże, miecze i maczety, a kobiety zajmowały się tworzeniem kręgu ze świeżo zapalonych pochodni. Wiktor cały czas powtarzał w duchu, że będzie to dokument, na który tak długo czekał, temat szeroko komentowany w Polsce i na świecie, dający mu nie tylko sławę ale i niezależność finansową. Wszystko dążyło do finału, czegoś spektakularnego, nikt z postronnych osób, obserwujących całe to wydarzenie, okraszane mantrycznymi śpiewami nie domyśliłby się jednak, że działalnością Bractwa, a raczej jego podstawowym założeniem jest rytualne złożenie ofiary z dwuletniego dziecka.

Milla

serfer

MILLA WYRWAŁA SIĘ Z OPRESJI, LECZ NADAL DEPCZA JEJ PO PIĘTACH. TYMCZASEM PABLO...

Złoty trunek

Słychać było kapanie pojedynczych kropli, które ściekały z oszklonych ścian kanału. Było nad wyraz spokojnie. Płomień tłącej się pochodni odbijał się w tafli mętnej wody, tańczył na trzonku sosnowego drzewca owiniętego szmatą, krzesząc świecące iskierki. Zapach palonej żywicy mieszał się z niezbyt przyjemnym fetorem gnijących warzyw i fekalii. W oddali było słychać pomruk i stęknienie, które odbiło się echem po całym kanałowym tunelu. To Pablo ocknął się wreszcie i podniósł ciężko swoje cztery litery.

— Amul! Wody, daj mi wody, barbarzyńco! Twój trunek to istny szatański wytwór. Nigdy jeszcze nie miałem tak przeogromnego kaca. Czuję, jakby mnie łamano kołem, dodatkowo walono młotem kowalskim po czerepie. Auuu!

Zielona koścista postać wynurzyła się z odmętów, rozchlapując wodę naokoło.

— Pablo, cicho, bo płoszysz nam śniadanie... — powiedział poirytowany Amul, patrząc na uciekające w popłochu gryzonie.

Pablo podążył za jego wzrokiem, wykrzywiając usta w grymasie.

— Jeżeli myślisz, że będę to jadł, to się grubo mylisz.

— To nie jedz, twoja wola, bądź głodny.

— Muszę się już zbierać, gościnnie gnołu. Miło było cię poznać, ten pijaczyna z twojej opowieści miał rację.

— Oj, już się zmywasz, tak szybko? Och, szkoda myślałem, że jeszcze się posilisz, ale sam mówisz, że nie gustujesz w szczurach...

— Wskażesz mi wyjście z tego kanału? Byle nie takie, które zaprowadzi mnie z powrotem do więzienia.

— Zgoda, wyświadczyłeś mi przysługę, dotrzymując mi towarzystwa, to i ja muszę ci się czymś odwdzięczyć.

Wychodząc po drabinie ku wyjściu, kiwnął stworkowi na pożegnanie, łamiąc przy tym jeden ze zardzewiałych szczebli, na szczęście niezdarny Pablo złapał się w ostatnim momencie. Podniósł pokrywę. Jego oczom ukazał się gwarny rynek miasta Villevin. Było jeszcze przed południem, a miasto już tętniło życiem. A to przekupki przekrzykiwały się nawzajem, że to one mają najlepsze i najświeższe jaja. A to jakiś dzieciak zwinął jabłko ze straganu, widzący to sprzedawca, zaczął gonić złodziejzaka. Ludzie kupowali, śmiali się, jedli smakołyki sprzedawane w pękach zwiniętych rzemykiem.

Stragany mieniły się feerią barw. Daszki budek często pozszywane były z różnych skrawków materiałów. W powietrzu unosił się zapach przypraw, które widniały na straganach w wielkich kopach.

Soczyste owoce mieniły się w porannym słońcu. Pablo w końcu zaczęła właśnie cieknąć ślinka, bo kiedy zwrócił na nie uwagę, przypomniał sobie, że jeszcze nic nie jadł.

Wyskoczył zwinnie, zamykając za sobą wejście do ścieków. Rozglądnął się, wciągnął świeże powietrze do płuc.

— Ach, tego mi brakowało. Miło znów przywitać światło dzienne i świeżutkie powietrze.

Ruszył w stronę kolorowych straganów. Zwinął jabłko i kilka gruszek z tego samego straganu, co młody chłopaczek. Sprzedawca nawet się nie zorientował, gadał z jakimś klientem, który negocjował cenę. I szedł tak przez dłuższą chwilę, delektując się smakiem owoców, gdy nagle usłyszał swoje imię.

— Pablo! Pablo!

Przez tłum ludzi przedzierał się mężczyzna z kozia bródką i szpiczastym kapeluszem.

— Pablo, mój druho! Gdzieś ty się podziewał? Szukałem cię.

— Witaj Larkinie. Długo by opowiadać...

— O to świetnie się składa, bo akurat chciałem cię zaprosić na piwo.

— Ha, ha, no to miałeś niezłe przygody. No, baby potrafią przysporzyć kłopotu. A tak swoją drogą, musisz mnie kiedyś poznać z tym gnolem. — Powiedział roześmiany Larkin, pochłaniając kolejny łyk złocistego trunku. — Wiesz co, może nawet napiszę kiedyś o tym balladę. O zdradzieckiej piękności i wybawczej brzydocie.

— Proszę cię, według ciebie to było wybawienie? Do teraz wszystko mnie boli po tym czarcim trunku. Dobrze, że mnie zaprosiłeś na piwo, bo bym nie wytrzymał.

— Widzisz, stary druh zawsze wie, kiedy kompan jest w potrzebie. Tak a propos potrzeb, ja wraz z Troidem planujemy mały skok i potrzebujemy kogoś trzeciego do spółki. Pisałbyś się na to?

— Wiesz co, nie bardzo... Znasz moją sytuację, wolałbym, żeby to najpierw ucichło, ciągle jestem zbiegiem.

— Myślisz, że ktoś będzie się kłopotał, żeby znaleźć takiego drobnego złodziejzaka jak ty?

— Na pewno nie powołają garnizonu, ale jestem pewien, że każdy strażnik wie, kim jestem i raczej nie mam zamiaru pokazywać mi się. Mam zamiar opuścić miasto na kilka tygodni, kiedy kłopotu przysporzy im ktoś inny...

— Masz na myśli nas? — zaśmiał się Larkin. — My nie jesteśmy z bratem tak niezdarni jak ty. Nikt się nawet nie spostrzeże, kiedy będziemy dokonywać zamachu.

— Nie, nie miałem was na myśli, chociaż... kto wie, pamiętasz zamach u złotnika? — zaśmiał się szyderczo Pablo.

— Stare dzieje. Byłem wtedy młody i głupi.

— No tak, teraz ci tylko głupota została...

— Jak cię zaraz palnę w ten kaczyleb, to zobaczysz... — Nie zdążył dokończyć, bo nagle do karczmy wpadło dwóch strażników.

— Czy jest tutaj obywatel imieniem Pablo z Tartanii? Czy ktoś go może widział? Jest on zbiegiem i każdy, kto będzie usiłował zatajać miejsce jego przebywania, zostanie ukarany. — powiedział jeden ze strażników donośnym głosem.

Pablo tak jak inni, zaczął się rozglądać po sali, udawał spokojnego i zdziwionego, lecz tak naprawdę trząsł portkami. Na sam widok ostrych mieczy strażników, serce podeszło mu do gardła. Próbował się skryć za przyjacielem. Strażnicy to dostrzegli.

— O, a kto się tam chowa? Może to nasz uciekinier wybrał tak wyszukaną kryjówkę? Albo to ktoś, kto boi się widoku naostrzonej stali.

— Zapewne jedno i drugie. Pokaż no się! — powiedział stanowczo drugi ze strażników.

Obaj strażnicy podeszli do ich stołu. Znad blatu wystawało pióro kapelusza, potem wyłoniły się przerażone oczy Pabla.

— Aha, mamy cię, teraz nam nie uciekniesz! Wyłaż spod tego blatu, nie będziemy cię wyciągać spod tego stołu.

— To może ja tam zostanę... — powiedział Pablo.

— Bardzo śmieszne, wyłaż!

— Dobra, nie ma sprawy, już wychodzę.

Kiedy strażnicy byli już wystarczająco blisko, zniecierpliwieni mieli już dość i chcieli podejść, by wyciągnąć mężczyznę, w tym momencie runął na nich ciężki stół z całą jego zawartością. Jeden ze strażników stracił równowagę i runął razem ze stołem, drugi próbował odskoczyć, lecz na jego twarz wylała się gorąca stawa, parząc jego twarz. Pablo nie tracąc czasu, wyleciał pędem omijając „tańczącego” strażnika, porywając po drodze bochenek chleba i antałek wina z któregoś ze stołów. Wszyscy byli tak zaaferowani całą tą sytuacją, że nie zwrócili na to zbyt wiele uwagi. Karczmarz usiłował go złapać, lecz mu się wymknął, na szczęście był blisko drzwi. Zaraz potem kiedy wybiegł na rynek, za nim wybiegł również karczmarz i dwóch strażników, którzy krzyczeli, aby go łapać. Za Pablem unosiła się chmura kurzu, tak szybko przebiegał nogami. Zniknął w zaułku. Kiedy strażnicy tam dobiegli, nikogo już tam nie było. Nikt nie zwrócił jednak uwagi na lekko uchylone wieko od wejścia do kanałów...

Wyprawa na Orlą Perc

Wiński

CAŁODZIENNA WYPRAWA W NAJTRUDNIEJSZY SZLAK POLSKICH TATR.

Pewnego wieczoru do mojego pokoju przyszedł brat. W trakcie krótkiej rozmowy zapytał mnie, czy dalej lubię chodzić po górach. Powiedziałem, że bardzo, ale nie po pagórkach, na które w niedziele przyjeżdżają całe rodziny z dziećmi, lecz po trudniejszych szlakach. Odpowiedź wyraźnie mu się spodobała i od razu zaproponował mi wyjście w Tatry. Pierwszym celem miała być Świnica, żeby zobaczyć, jak sobie radzę w takich warunkach. Następnie mieliśmy przejść przez Orlą Perc i zejść Kozią Przełęczą. Sprawdziiliśmy pogodę na przyszły weekend i ku naszej radości zapowiadała się świetnie - brak chmur, temperatura około 12-14 stopni Celsjusza i piękne słońce. Niestety miał wiać mocny wiatr, lecz to już nam tak bardzo nie przeszkadzało.

W piątek wieczór przygotowaliśmy sobie wszystkie rzeczy potrzebne na całodniową wyprawę w wysokie góry. Były to między innymi: odzież do ubrania się „na cebulkę”, wygodne, wysokie buty turystyczne, coś na przebranie się, peleryna no i oczywiście prowiant oraz aparat fotograficzny. Po ostatecznych ustaleniach poszliśmy spać. Następny dzień miał być wyjątkowo męczący i pełen wrażeń.

Godzina czwarta trzydzieści rano. Budzik. Czas wstawać. Wygramoliłem się z łóżka, spakowałem resztę potrzebnych rzeczy do plecaka i zszedłem zjeść śniadanie. Ze zdziwieniem zobaczyłem kanapki na stole i mamę robiącą herbatę. Nie przypuszczałem, że wstanie o tak wczesnej porze. Po posiłku przyszedł mój brat z plecakiem i powiedział, że zaraz jedziemy. Zanieśliśmy wszystkie rzeczy do samochodu, pożegnaliśmy się z rodzicami i wyjechaliśmy z domu około godziny piątej.

Podróż minęła spokojnie i przed siódmą dojechaliśmy na miejsce – parking w Zakopanem. Przebraliśmy się w ubrania do wspinaczki górskiej, zamknęliśmy samochód i poszliśmy pod dolną stację kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Po kupnie biletów od razu udaliśmy się do wagonika – zdążyliśmy w ostatniej chwili. Już w czasie jazdy na górę byliśmy pewni, że pogoda nam dopisze. Słońce pięknie oświetlało szczyty.

Na górze okazało się, że wiatr jest mocniejszy niż przypuszczaaliśmy.

Wyruszyliśmy w drogę z Kasprowego Wierchu. Na początku było chłodno, ale potem się rozgrzaliśmy. Naszym pierwszym głównym celem była Świnica. Po drodze przechodziliśmy przez Przełęcz Liliowe znajdującą się na wysokości 1952 m n.p.m. Następnie poprzez Skrajną Turnię i Pośrednią Turnię doszliśmy do Świnickiej Przełęczy. Tam był mały odpoczynek przed atakiem na Świnicę, ponieważ różnica wysokości wynosiła 250m, a czerwony szlak będzie dość stromo. Podejście było bardzo męczące. Na trasie spotkaliśmy bardzo wielu turystów. Miałem nadzieję, że na Orlej Perci będzie ich mniej, ponieważ teraz zdarzało nam się czekać po kilka minut w przewężeniach aż przejdą ludzie przed nami. Przed samym szczytem pojawiły się łańcuchy asekuracyjne, jednak nie są one w tym miejscu koniecznością. Świnica ma 2301 m n.p.m. Dojście na nią z Kasprowego zajęło nam dwie godziny. Na górze na szczęście było niewiele osób. Od razu ubrałem okulary korekcyjne (nie zawsze je noszę, bo moja wada nie jest zbyt wielka). Widok był przepiękny. Zobaczyliśmy, że sporo osób chce dostać się na szczyt, więc poszliśmy dalej. Zeszliśmy ze Świnicy i czerwonym szlakiem udaliśmy się w kierunku przełęczy Zawrat położony na wysokości 2159 m n.p.m. Po drodze pokazywały się kolejne łańcuchy asekuracyjne i pierw-



sze klamry, lecz mimo wszystko trasa wydawała mi się dość łatwa. Po 40 minutach drogi doszliśmy do Zawratu. Tam urządziliśmy sobie dłuższą przerwę połączoną z piknikiem. Zjedliśmy po 3 kromki i wypiliśmy ciepłą herbatę z termosu.

Przyjrzelśmy się niebu i stwierdziliśmy, że nie zanosi się na zmianę pogody, spakowaliśmy więc plecaki i ruszyliśmy dalej. Na samym początku przepuściliśmy trzech toprowców, ponieważ szli dość szybko i nie chcieliśmy ich hamować. Po drodze do celu naszej wyprawy – Koziej Przełęczy musieliśmy przejść przez Mały Kozie Wierch, Zmarzłe Czuby i Zmarzłą Turnię. Trasa robiła się coraz ciekawsza. Przez większą jej część trzeba było się asekurować łańcuchami. W wielu miejscach było tak ślisko od wilgoci, że wisielśmy na łańcuchach próbując się gdziekolwiek podeprzeć. Adrenalina gwałtownie nam podskoczyła. Ale byliśmy świadomi, że najlepsze dopiero przed nami. Zabranie rękawiczek było bardzo dobrym posunięciem, ponieważ łańcuchy, klamry i skały są bardzo zimne.

Do Koziej Przełęczy nie było już daleko, kilka minut drogi. Czekala nas jeszcze najdłuższa drabinka w Tatrach. Mogłoby się wydawać, że drabinka nie powinna być wielką przeszkodą, lecz przymocowana była ona do pionowej skały. Z góry nie było jej widać i trzeba było się opuścić na łańcuchu w przepaść i wyszukiwać nogami szczebla. Zaś jej koniec, mimo że był sporo niżej to i tak znajdował się kilkadziesiąt metrów nad skałami. Trzeba było zejść na małą półkę w lewo. Potem droga na dół była już łatwa. Schodziliśmy do schroniska w Murowańcu. Po drodze minęliśmy Czarny Staw Gąsienicowy i zrobiliśmy ładne zdjęcia. Było tam bardzo dużo turystów. Przeszliśmy koło schroniska i zrobiliśmy przerwę na posiłek. Wypiliśmy resztę herbaty i zeszliśmy do Kuźnic. Tam przebraliśmy się, spakowaliśmy rzeczy i zmęczeni, ale szczęśliwi pojechaliśmy do Krakowa. Chciałbym podziękować pani profesor Szkudlarek za zwolnienie mnie z zajęć, ponieważ po tak długim zejściu moje kolana odmawiały posłuszeństwa.



Narzekania ciąg dalszy

Łukasz Ożóg

MOJE NARZEKANIA, ŻADNA NOWOŚĆ. Z TYM, ŻE DZISIAJ NARZEKAM NA TO, ŻE LUDZIE LUBIĄ NARZEKAĆ. TYLKO DLACZEGO?

Nie wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie tak narzekają. Chyba są jacyś głupi. Doszukują się wad u innych, nie widząc swoich. I są hipokrytami. I ja też. Bo narzekam na narzekanie. Wyżalę Wam się tutaj teraz na całą stronę A4, a raczej 5850-5950 znaków. No, to sobie akurat chwale, limity znakowe. Fajniej się pisze. Dobra, koniec optymizmu.

Doszedłem ostatnio do wniosku, że narzekanie może mieć wiele przyczyn. I nie, niekoniecznie dlatego, że „ktoś jest Polakiem i ma to we krwi” (tak bardzo kochać stereotypy). Dlaczego tak myśleć? Przecież każdy z nas, zna na pewno jakiegoś kolegę optymistę, który nie narzeka. Nie możliwe? Możliwe, jednak nie mam zamiaru tego udowadniać. Chyba, że jakimś prostym przykładem.

OK, niech będzie: 4.40, niedziela. Janek wstaje, nie bardzo mógł spać. Może to dlatego, że w sobotę spał po imprezie w ciągu dnia ładnie parę godzin. No nic, zawsze można przecież powiedzieć: „K...”, jaki mi matka materac kupiła, co za g..., nie da się spać”. Idzie do kuchni. „Matki” nie ma, poszła na piątą do pracy. Troskliwie zostawiła jednak synowi śniadanie i kawę. Janek kosztuje kanapki i pada soczyste: „K...”, znowu z tym pasztetem”. Ale to jeszcze przecież nic. Nasz bohater bierze tyka kawy. Równie soczyste: „Nosz k..., postłodzona. I co to za mleko k... jest.” No tak, nie słodzić, zdrowy tryb życia, siłownia, te sprawy. Janek, obarczony jakże wielkimi problemami XXI wieku, postanawia polepszyć swój żywot porannym papierosem, zapominając przy tym chyba o tym ukochanym zdrowym stylu życia. Jednak może nie do końca. Ogranicza palenie. Spali jednego. No dobra, dwa. Ewentualnie osiem. Bo przecież takie nieszczęścia go w życiu spotykają. A to na pewno pomoże. Nie wnika. Spalił je wszystkie, za każdym razem jęcząc: „Czemu mentole, czemu kupiłem je na spółkę z dziewczyną i czemu ona musi palić mentole?” No trudno, jakie były, takie były. Oczywiście śmierdziały jak każde inne, więc zadymił całą kuchnię i przedpokój. Poszedł pootwierać okna, żeby wywietrzyć. Gdy tylko wziął pierwszy poranny oddech świeżego powietrza, wyraził swoją opinię na temat sytuacji meteorologicznej tamtej-

szego dnia. Oczywiście równo obficie w słowa na „k”, „h”, „ch”, a nawet „p”. I głośno, bo prawdziwy męski głos musi być słychać. No tak, było okropnie, to fakt. 3°C i lekkie deszcz. I do tego mgła. Ale przecież Janek nie jest złym człowiekiem, spokojnie mógłby o sobie powiedzieć: „Polak - katolik”. No właśnie, z okazji niedzieli, o tym drugim też mu się przypomniało. Nie wiadomo dlaczego, nasz bohater nie podchodzi jednak pozytywnie do obowiązków idących w parze z jego religią, bo: „no na ch... ja chodzę do tego kościoła, p... to jakieś”. Tutaj też, równie głośno, bo może „moherowa” sąsiadka, Pani Wiesia z dołu usłyszy i znowu będzie mógł się pośmiać, jak go zacznie od „belzebubów” wyzywać. No a do tego tak, fakt, trzymaj fason Janek, męski głos 18-latkę musi być słychać. Szczególnie musi go słyszeć 36-letnia sąsiadka z bloku naprzeciwko, z 2 piętra, którą nasz bohater mimo mgły i braku lornetki zdołał dostrzec wieszającą pranie. Janek i jego koledzy lubią określać ją „dobrym MILF-em”, cokolwiek to znaczy. Może to, że młode chłopaki widzą ją nawet przez mgłę, lub przesadnie o siebie dba albo nawet próbuje wyglądać młodo jak jej 16-letnia córka. No cóż, mniejsza o to. Janek idzie do komputera. Kopie nogą włącznik, bo przecież „to już stary szajs, tnie się tylko”. Wchodzi na fejsa. Spędza tam pół godziny na lajkowaniu zdjęć koleżanek, ale broń Boże, nie wszystkich. Bo przecież połowa to „pasztety i kto im pozwolił leginsy nosić”. Starczy. Zobaczył, że jego kolega, który dorabia weekendami w call center, jest już zalogowany. Janek oczywiście pisze do niego na czacie, proponując mu w dość młodzieżowy sposób specyficznym slangiem wyjście na miasto wieczorem. Wie oczywiście, że ma jutro sprawdzian z majcy, i wypadałoby się pouczyć albo chociaż ściągę zrobić, ale „ma to gdzieś, życie go zbyt przytłacza i ogólnie, to ma jesienną depresję”. Nie ma co dyskutować, on wie najlepiej i to przecież jego życie, na które jednakże dziwnym trafem dalej pracują rodzice, zamiast on sam. I dziwne, że oni nie mogą sobie pozwolić na jesienną depresję. Janek wprowadzie im się dziwi, bo przecież czasem sobie „można odpuścić”. Pewnie, znając podejście naszego bohatera do matematyki i ekonomii, to można. Zwłaszcza, że ta wiedza ogranicza się do tego, że pieniądze bierze się z bankomatu.

To koniec fragmentu tej historii, którą wymyśliłem. Można by ją ciągnąć jeszcze dłużej, ale każdy wie, jakby to było - im dalej, tym więcej Janka, jego ego i narzekania. I może niektórych załamała ta historia, bo są starsi i mają teraz trochę spaczony obraz młodych ludzi, innych może śmieszyła. Nie wiem, ja chcę tylko, by ktoś, kto ją już przeczytał, pomyślał nad nią. Bo można się śmiać, ale niektórzy w pewnym momencie na pewno zobaczyli, że nieraz im się zdarzyło na coś ponarzekać. Z kolei łatwo też dostrzec, że znaczna większość „problemów” naszego Janka była tylko jego winą. Kawę i śniadanko mógł sobie zrobić sam, sen lepiej rozplanować. Matmy się nauczyć. Do kościoła chodzić nie musi, narzekać na wierzących, a tym bardziej ich wkurzać także. I tak dalej, i tak dalej. Bo po co? On sam sobie stwarza powody do narzekań. Może lubi taką dramę, może dla niego nie może być spokojnie, bo byłoby nudno? Nie wiem. Ja mam nadzieję tylko, że niektórzy w tym momencie pomyślą, coś robią sami, przestaną narzekać i dostrzegą, że im więcej narzekają, tym mniej pracują. A im mniej pracują, tym jest dla nich gorzej. Te całe żale i smutki to tylko niepotrzebny element. I stwarza patologię. Bo o ile ktoś narzeka, ponieważ nie ma co jeść i w domu go biją, to OK. Ale gdy komuś przyjdzie do głowy żalenie się na to, że złą kawę w Starbucks’ie dostał, to niech się zastanowi. I to tak ze dwa razy albo najlepiej tyle, żeby do niego doszło, że nie jest u niego najgorzej. A nawet źle nie jest. Trzymajcie się.

LAPTOP ZARAZ SIĘ ROZŁADUJE

A ŁADOWARKA JEST W DRUGIM POKOJU

Memy.pl

Nauka w domu

bogi

CZYLI JAK SIĘ UCZYĆ ŻEBY SIĘ NAUCZYĆ.

Do szkoły każdy chodzić musi (do 18 roku życia, ale jednak), lecz czy może to być czas udany? Oczywiście, że może: mnóstwo przyjaciół, wspaniała atmosfera i zabawne sytuacje. Problemy zaczynają się, gdy pojawią się kartkówki, sprawdziany i zniechęcająca odpowiedź ustna. Jak wyjść z tego cało? Są dwie możliwości. Pierwsza, można iść przez życie, nie zważając na konsekwencje swoich działań, nie przygotowując się na testy i myśleć, że jakoś to będzie. Druga, systematycznie (albo chociaż od czasu do czasu) przygotowując się na sprawdziany. Ja osobiście preferuję pierwszą opcję, ale jak trzeba się nauczyć to trzeba. Jak to osiągnąć w możliwie najkrótszym czasie? Jest kilka sprawdzonych, niemęczących wskazówek na skuteczną i szybką naukę. Po pierwsze: trzeba postarać się przeznaczyć odpowiednią ilość czasu na naukę. Nierozważnie jest zostawiać wszystko na koniec, po prostu lepiej zrobić to, co można jak najprędzej. A im szybciej coś się zrobi, tym więcej czasu mamy zaoszczędzone. Po drugie: nie można bać się przeczytać tekstu kilka razy. Po przeczytaniu można robić sobie krótkie przerwy i postarać się opowiedzieć swoimi słowami to, co właśnie zostało przeczytane. Jeżeli efekt jest zadowalający – można przejść do następnych tematów. Jeżeli nie – radzę przeczytać tekst jeszcze raz. Po trzecie: bardzo dobrym sposobem na zapamiętywanie ważnych faktów jest robienie ściąg (wcale nie namawiam nikogo do robienia ściąg... A może...), oczywiście chodzi bardziej o „pomocę edukacyjną”. Podczas czytania warto postarać się robić krótkie i zwięzłe notatki zawierające najważniejsze informacje. Po czwarte: powinniśmy dostosować otoczenie, w którym usiłujemy się uczyć, jeżeli bardzo łatwo tracimy uwagę i trudno się skoncentrować, powinniśmy uczyć się w pomieszczeniu cichym, bez muzyki i telewizora, najlepiej przy biurku. Jeśli natomiast ktoś jest osobą bardzo łatwo się koncentrującą, to w nauce pomóc mogą zewnętrzne bodźce takie jak muzyka czy telewizja. Niektórym ludziom znacznie pomaga odrobina ruchu podczas nauki (przechadzka po pokoju czy pójście do lodówki po małe co nieco). Jeszcze tak na koniec coś na temat napojów energetyzujących.... Nie oczekujcie, że wypicie takiego napoju znacznie pomoże – wręcz przeciwnie! Efekt jego działania jest chwilowy, gdy się skończy, człowiek staje się zmęczony i senny. Stanowczo odradzam tego typu rozwiązanie. Mam nadzieję, że przydadzą Wam się te porady i zdołacie zdobyć dzięki nim trochę lepszych ocen.



Gramy!

Hubcio

NADCHODZI JESIEŃ. A RACZEJ ZIMA. ALBO JEDNO I DRUGIE. I CO Z TEGO? NIC, ALE MOŻNA W COŚ POGRAĆ.

Kerbal Space Program

Dostajemy zadanie uratowania swoich dwóch ziomeczków, którzy utknęli na księżycu. Mamy po nich polecieć, a następnie w jednym kawałku wrócić na Ziemię. Cała magia polega na tym, że naszą rakietę/samolot budujemy sami, od podstaw. Montujemy kapsułę, zbiorniki na paliwo, dobieramy odpowiednie silniki, podpinamy przewody paliwowe, dbamy o odpowiednią aerodynamikę i stabilizację lotu itp. Gdy nasz wehikuł jest już gotowy, własnoręcznie możemy wystrzelić go w kosmos. Ale nie jest tak prosto: nasz statek wybucha w powietrzu. Dlaczego? Bo nie umiesz budować, dlatego grze trzeba poświęcić trochę czasu, żeby zrozumieć zasady i reguły konstrukcji takich obiektów. Ale jak już się wszystkiego nauczysz, to gra przyniesie dużo frajdy.

Metal Slug

Klasyka gier z automatów. Aż się łezka w oku kręci, jak człowiek sobie przypomni, ile kasy przepuścił, żeby pochwalić się przed kumplami, że potrafi przejść pierwsze dwa etapy bez żadnej skuchy. Ale do rzeczy. Wybieramy sobie swojego żołnierzyka, a następnie w klasycznej grafice 2D biegniemy w prawo, strzelając dosłownie do wszystkiego. A tego trochę jest: czołgi, helikoptery, ciężarówki pancerne, samoloty, maszyny kroczące, kosmici, zombie... Jest z czym walczyć. I jest też czym! Karabiny maszynowe, wyrzutnie rakiet, lasery, a nawet gumowe granaty odbijające się od ziemi! Na końcu każdego poziomu czeka nas walka z super-mega-hiper-przepakowanym przeciwnikiem, którego pokonanie może czasem napsuć trochę krwi. Esencji gry nie da się opisać – trzeba zagrać, żeby dowiedzieć się, dlaczego tak mocno przyciąga do ekranu.



Running With Rifles

Gra jest dopiero w fazie alfa, więc trzeba się liczyć z licznymi błędami i niedociągnięciami, ale jest jak najbardziej grywalna. Całość traktuje o walkach żołnierzy zielonych z szarymi. W widoku izometrycznym obserwujemy starcia sięgające nawet 300x300 osób. Strefa wojny podzielona jest na kilka sektorów, które trzeba przejąć, jeśli chcemy wygrać bitwę. Do naszego arsenału oddano parę broni (snajperka, jakieś karabiny i strzelby) i dwa rodzaje pojazdów. Postacią kierujemy standardowo WSA-D'em, więc nie mamy do czynienia ze strategią. Wraz z naszym postępem na polu bitwy dostajemy możliwość dowodzenia większą ilością wojaków, jak i dodatkowym wsparciem artyleryjskim. Idealna gierka na chwilę wolnego czasu.

<http://wiipricesnow.com/wp-content/uploads/2010/10/metal-slug-1.jpg>

Współczesny patriotyzm

Maciej Pietrzyk

ŚWIĘTA NARODOWE TO NIE TYLKO WOLNY DZIEŃ OD NAUKI... ZASTANÓWMY SIĘ NAD ZBLIŻAJĄCYM SIĘ ŚWIĘTEM 11 LISTOPAD I JEGO OBCHODACH ORAZ NAD WSPÓŁCZESNYM PATRIOTYZMEM.

Tydzień temu podczas lektury „Potopu” Henryka Sienkiewicza postać Zagłoby i Skrzetuskiego skłoniła mnie do przemyśleń na temat polskiego patriotyzmu, a w szczególności nad jego metamorfozą.

W lekturze patrioci przedstawieni są jako ludzie honorowi, oddani krajowi i gotowi do czynu, a jak wygląda patriotyzm w dzisiejszej Polsce?

Popularnym ostatnio wyśmiewanym powiedzeniem stało się: „nie o taką Polskę walczyli moi dziadkowie”. Przywołują je szczególnie często ludzie chcący wyśmiać poglądy innych na temat sytuacji politycznej w naszym kraju. Część młodych obywateli nie przywiązuje już wagi do takich wartości jak rodzina, rodzinne miasto czy kraj. Święta narodowe traktowane są tylko jako okazje do dodatkowego wolnego dnia lub długiego weekendu. Sam w swoim środowisku obcuję na co dzień z ludźmi, których jedynym celem jest zakończenie edukacji w Polsce, ponieważ jest jeszcze tania, a zaraz po studiach/szkole średniej chcą emigrować do krajów rozwiniętych. Tylko niewielka część społeczeństwa myśli o naszym kraju jak o pręźnie rozwijającym się Europejczyku. Nie zważając na trudną historię naszego narodu, ludzie potrafią tylko narzekać na obecny stan finansowy. Zadają pytania, dlaczego w Polsce nie ma drugiej Irlandii czy Japonii.

Ale po co o tym wspominam? Otóż 11 listopada przeżywamy rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę po 123 latach rozbiorów. Dla części społeczeństwa będzie to tylko niedziela bez otwartych galerii, więc idąc tym tokiem rozumowania, nie ma czego świętować. Jednak chciałbym, abyście nie podchodzili do tego, jak ludzie uważający się za nowoczesnych i mówiący, że historia nie jest nam potrzebna. Sukces, jakim było odzyskanie niepodległości, dowodzi, że nasz naród stać na wiele, na pewno na więcej niż ciągłe narzekanie i użalanie się nad ciężką przeszłością. Problemem naszych rodaków jest pesymistyczne podejście do życia i rozpamiętywanie tylko tych złych wydarzeń z przeszłości.

Proszę Was, abyście po przeczytaniu tego artykułu uczcili Święto Niepodległości chociażby na swój własny sposób i pomimo ciężkiej przeszłości Polski znaleźli także chwalebne momenty w historii kraju, tak jak Zagłoba z „Potopu”, który pomimo, iż był trochę narcystyczny, nie zapominał o sukcesach swego narodu.



Jak utrzymać się z pszczelarstwa, a przy tym dożyć starości

Krzysztof Franiek

PISAŁEM JUŻ O TYM, JAK ZABRAĆ SIĘ DO ZAKŁADANIA PASIEKI, ILE TO KOSZTUJE ITP., A TERAZ CZAS NAPISAĆ, CO DALEJ.

Zacznę od tego, iż pszczelarstwo może mieć trzy formy: hobby, praca uzupełniająca bądź też główne zajęcie. Najwięcej jest pszczelarzy – hobbystów, to znaczy takich, którzy są w posiadaniu do pięciu rodzin. Taka forma może i nie przynosi dużych zysków, ale i nie wymaga dużego wkładu czasu. Pięć rodzin może rocznie wyprodukować dla nas około stu litrów miodu. Wystarczy to na własny użytek i zostanie coś na sprzedaż. Zyski na pewno pokryją koszty eksploatacji, a w kieszeni zostanie nam dodatkowo parę groszy... Zaletą tej formy jest to, że możemy zajmować się praktycznie wszystkim, a i tak znajdziemy wystarczająco czasu, aby zając się naszymi pszczołkami.

Pszczelarstwo możemy także potraktować jako zajęcie dodatkowe. W tym przypadku kryterium jest takie, że musimy pracować najlepiej niedaleko miejsca zamieszkania i mieć elastyczne godziny pracy. O sporej ilości wolnego czasu chyba nie musimy wspominać. W takim przypadku przykładowo utrzymujemy od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu rodzin. Zacznę od czasu. Aby dobrze gospodarować w takiej pasiece, potrzeba nam około ośmiu godzin tygodniowo. Jest to ilość oczywiście orientacyjna, bo w miarę zwiększania naszych umiejętności, ilość wymaganego czasu maleje. Ważnym czynnikiem jest tu także to, ile czasu spędzimy na przygotowywaniu samych uli oraz dodatków do nich. Mając dostęp do podstawowych maszyn stolarskich, trochę chęci i czasu, możemy sporo zaoszczędzić. Teraz to, co zapewne Was bardziej interesuje, czyli zyski. Jedna rodzina może rocznie wyprodukować nawet trzydzieści litrów miodu. Zakładając, że koszt litrowego słoika prawdziwego miodu oscyluje w granicach czterdziestu złotych, łatwo obliczyć sobie możliwe zyski. Trzeba jednak pamiętać, że to jest górna granica. Bywają lata, gdy pogoda nie sprzyja czy też pszczoły zachorują, a wtedy zyski maleją...

Jeżeli ktoś ma ku temu warunki i zamiłowanie, to można zostać pszczelarzem i z tego się utrzymywać. Dwieście dobrze prowadzonych uli, przy średnio sprzyjających warunkach, zapewni lepsze dochody niż praca na zmywaku. Zresztą każdy może to sobie prosto przekalkulować. Nie można jednak zapomnieć o tym, że z pszczelarstwem, jako sposobem na utrzymanie się, wiąże się ryzyko. Jednego roku możemy zarobić dużo, następnego niewiele. Trzeba to sobie wkalkulować.

Na koniec zostawiłem kwestię bezpieczeństwa. Naprawdę rzadko się zdarza, aby pszczelarza zabiły własne pszczoły, lecz i takie przypadki miały miejsce. Jest to na pewno zajęcie poniekąd niebezpieczne, trzeba być przygotowanym na to, że pszczoły nieraz nas pożądlą, ale od tego się nie umiera. Wręcz przeciwnie, jad pszczeli ma właściwości lecznicze – chroni przed reumatyzmem.

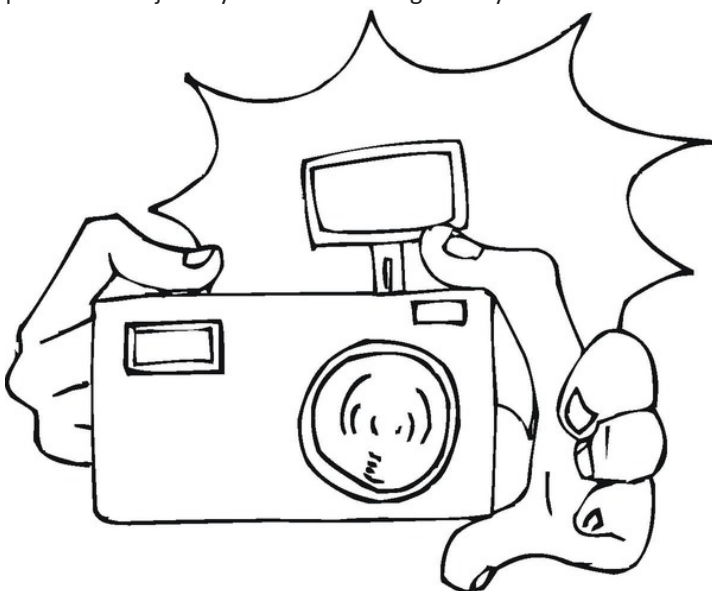
Podsumowując, jeżeli ma się do tego warunki, chęci i środki, warto spróbować się w pszczelarstwie, choćby dlatego, że pszczelarstwo to samo zdrowie. Trochę ruchu i pracy fizycznej na pewno nie zaszkodzi. A miód... Przyjemne z pożytecznym :)

Pobawmy się fotografią - cz.1

Aneta Sacha

W PIERWSZEJ CZĘŚCI NOWEGO CYKLU ROZSTRZYGNIEMY M.I.N. SPÓR O TO, CO JEST WAŻNIEJSZE: WYPASIONY SPRZĘT CZY ODROBINA KREATYWNOŚCI.

Zaczynając moją przygodę z fotografią (a było to dobre trzy lata temu), szukałam przepisów o tym, jak robić dobre zdjęcia. Pojęcie „dobre” jest dość szerokie, wiadomo. Dla niektórych liczy się sam pomysł i ukazanie go na fotografii, inni stawiają przede wszystkim na technikę i jakość. Zagłębiając się w różne strony internetowe czy czasopisma - szukając owego przepisu - wiele razy zdarzyło mi się przeczytać zdania typu: „nie jest ważne, jaki masz sprzęt – ważne, co chcesz pokazać przez zdjęcia!” i wiele podobnych opinii. Czyli co? Wystarczy, że kupię aparat za pół tysiąca, więc mogę się nazwać pełnoprawnie fotografem i robić zdjęcia niczym profesjonalista ze światowych magazynów? Halo, coś tu jest nie tak.. Pytanie nurtowało mnie przez dłuższy okres mojej małej „działalności” hobbystycznej, ale klarowna i jasna odpowiedź nasunęła mi się dopiero przy pisaniu tego tekstu. Zdjęcia dobre pod względem jakości (kontrast, kadr, światło – bardziej zagłębieni w fotografię wiedzą, o co mi chodzi) po prostu miło się ogląda, bo sprawiają wrażenie profesjonalności. Zaś te fotografie, w których możemy dostrzec choć trochę kreatywności twórcy (inny kąt widzenia, naturalne pozy zamiast sztywno ustawianych kadrów) bardziej zainteresują potencjalnego odbiorcę, niż setki jednakowych, troszkę nudnych zdjęć. A jakby to tak połączyć? Robiąc chociażby na wycieczce, najwyklesze „foteczki na Facebooka” koledze z klasy, starajmy się połączyć kreatywność z dobrym wykonaniem technicznym. Może lekka zmiana proporcji, ciekawe wykorzystanie kompozycji? A może zamiast standardowego „trybu auto” przełączymy się na manualny (nawet jeśli początki będą kiepskie, a nawet bardzo kiepskie)? Wszystko leży w naszych rękach, a ja ze swojej strony zagwarantować mogę, że zdjęcia z odrobiną pomysłu będą się cieszyły większą popularnością niż kolejne, te same zdjęcia, np. z zabytkiem w tle. Po prostu bawmy się fotografią! To co, czas na małe wyzwanie? Bierzymy aparaty (nie ważne czy telefon, lustrzanka za piętnaście tysięcy, czy kalkulator), idziemy na spacer w jakieś ciekawe miejsce, przy okazji starając się uchwycić na zdjęciu coś niepowtarzalnego z nietypowej perspektywy. Kto wie, może efekty tego małego przedsięwzięcia uda się pokazać na najbliższym konkursie fotograficznym w ZSŁ? Do dzieła!



http://gry-dla-dzieci.pl/pliki_kolorowane/aparat-fotograficzny_933.jpg

Z Kronik Dysku

Benon

PO SKOSIE, NIEZGODNIE Z KANWĄ I Z LEKKĄ NIEŚWIEŻO.



http://www.cosmosmusicgroup.com/files/press/album_cover_-_lens_of_guardian.jpg

Początek pisania tego artykułu to istny Excalibur – zamiast pisać, zastanawiałem się już, jak bardzo się skompromituję, zatem mój pierwszy artykuł będzie bez wstępu. W końcu mamy modę na hipsterstwo (które po przekroczeniu pewnego limitu jest już mainstreamem, ale o tym wszystko napisano).

Gormathon – Lens of Guardian (2010)

Zespół znalazłem niedawno dzięki kumplowi, który fascynuje się szukaniem różnych nietypowych i przeważnie ciężkostrawnych zespołów. Gormathon to muzycy z Overload (witam w klubie, jeśli nie znacie - okazuje się, że powstał w 1987, mają na koncie 3 albumy + artykuł na Wikipedii prawdopodobnie pisany przez nich samych), basista i drugi gitarzysta, których to dokoptowali sobie chwilę po powstaniu grupy.

Pierwszy album Szwedów zaskoczył mnie po wielokroć – zaczynając od błędu w jego nazwie po jego zawartość. Już pierwsze taktyskojarzyły mi się z Amon Amarth – tonacja płyty to w większej części dolne H, gitarzyści grmią podobnym brzmieniem i bas jak zwykle po prostu jest. Przez całą wycieczkę nie poczułem nudy, wręcz zaskoczony byłem oryginalnością riffów! I najbardziej miódna rzecz w bandzie, czyli wokalista. Na Tonym Sunnhagu na 100% wzorowali się panowie z Bethesdy, gdy wymyślali fabułę do Skyrima. Facet ma przepotężny wokal – z „przyjemnego” growlu przechodzi w rejestry pokroju Hansiego Kürscha (choć jego normalny, czysty głos słychać tylko śladowo) i brzmią one naprawdę bojowo! Teksty są w mojej opinii zwykłe, większość piśmienniczych motywów już gdzieś widziałem. Przeważnie w Amonie/innych wojowniczych zespołach, aczkolwiek ich frontmani nie mieli tak majestatycznych atawizmów!

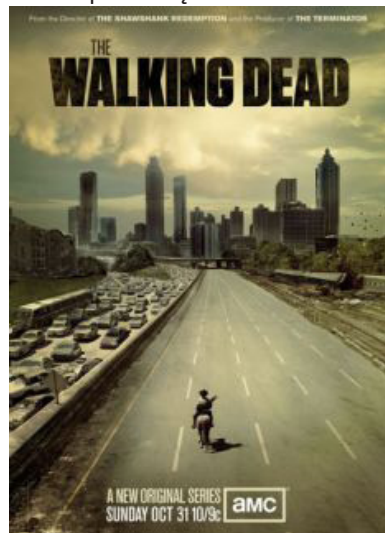
Podsumowując – nawet jeśli niekoniecznie zgłębiacie się w takie klimaty (tak jak moi), ale siedzicie w metalopodobnych – pozycja jest więcej niż warta przesłuchania (choćby lajk pod widełem - <http://bit.ly/MxOBUP>)!

W tym odcinku deadline goni, stąd na koniec tylko mała anegdota - dwóch redaktorów metalsucks.net miało „przyjemność” posłuchać nowego albumu KoRn przed premierą. Podsumowali w skrócie całą imprezę tak: „Przynajmniej było żarcie i drinki”. :)

W następnym odcinku: Kreator i Iron Savior – do przeczytania!

Było tak, że szukając filmów dla dorosłych, późno w nocy skakałem po kanałach i trafiłem na TVP1 (Nie wiem, czego tam się spodziewałem, tam nawet nie ma szans na zobaczenie głębszego dekoltu) i tam właśnie zaczynał się jakiś film i pierwsza scena, jaką

właśnie zobaczyłem, to zombie radośnie wyjadający flaczki na zimno z człowieka. Bang! W tej samej sekundzie jego głowa rozpada się na milion kawałków, a bura posoka zalewa ekran, nie gorzej niż w „Maczecie” Rodrigueza. Ujęcie z kamery unosi się do góry znad korpusu ofiary i pokazuje szeroką zakorkowaną w jedną stronę amerykańską, opustoszałą autostradę, gdzie zombich jest około 389. Czy aktora robią się wielkości pięciocentów i w tym samym momencie pojawia się intro serialu. Tak właśnie zaczęła się moja przygoda z tym programem. Filmy dla dorosłych muszą poczekać do jutra...



FOX wyłożył pieniądze specjalnie dla nas swoją serialową adaptację komiksu pod tym samym tytułem. Reżyserią zajęł się Frank Darabont - twórca takich hitów filmowych jak Wasza ukochana „Zielona Milla” i „Skazani na Shawshank”, a produkcyjną kwestią Gale Anne Hurd („Terminator”, „Obcy”, „Armageddon”) i póki co ich wspólna praca jest opłacalna, bo w telewizji aktualnie lecą premierowe odcinki trzeciego sezonu. Ja skończyłem oglądać króciutki pierwszy sezon (tylko 6 odcinków!) i moje wnioski są następujące: nie oszukujmy się. Nie spodziewajmy się po serialu, którego akcja dzieje się w postapokaliptycznym świecie wielkich cudów. Nie będzie tu barwnych dialogów czy jakiś zwrotów akcji. Co zatem wpływa na to, że ten serial się sprzedaje? Myślę, że głównym powodem jest ciągle trzymanie widzów w mocnym napięciu. Gdy oglądałem serial to dokładnie od początku do końca każdego odcinka moje wszystkie mięśnie były napięte i gotowe do skoku oraz obrony przed najbliższym zombie, który do mnie się zbliżył z ekranu. To uczucie było niesamowite, a ostatni serial, który wywarł na mnie podobne emocje, to był Prison Break (także produkcja FOX). Ludzie, którzy pamiętają tamten serial, będą znów mogli podziwiać Sarę Wayne Callies. Tutaj także występuje w roli dziewczyny głównego bohatera. Spisuje się nieźle, ale wciąż patrzy tym samym niedowierzającym wzrokiem, co na Michaela Scottfielda. A co do samego głównego bohatera „The Walking Dead”...



Przegląd serialowy kastel

W TYM MIESIĄCU, CHCIAŁEM OPISAĆ INNE SERIALE, ALE PRZYPADKIEM ZOBACZYŁEM „THE WALKING DEAD”. NIE MOGŁEM SIĘ POWSTRZYMAĆ.

W całym swoim życiu kinematograficznym nie spotkałem się z postacią równie szlachetną, co zastępca szeryfa Rick Grimes (Anderw Lincoln). Oto prawdziwy człowiek bez wad! No może ma tam jedną taką małą. Kiedyś tam kłócił z żoną. Jestem ciekaw, jak takie kłótnie wyglądały? Kochanie dziś nie chce ziemniaków! Chcę purée! Serio. Te „kłótnie”, jako motyw w serialu to fakty zupełnie nieistotne. No może ty, ty – odrobinę. No proszę! Litości. Człowiek ma tak złote serce i tak bije od niego chęć ratowania całego świata, że razi mnie po oczach. Nie strzeli temu człowiekowi w głowę, bo to niemoralne, co z tego, że za 30 sekund tamten będzie chciał mu zjeść płuca. Spiderman czy nawet Superman przy nim byli bardziej źli. Mimo tego Rick jest kimś, kogo da się polubić, chociaż więcej sympatii budzi w nas brat jednej z postaci – Daryl Dixon grany fantastycznie przez Normana Reedusa („Święci z Bostonu”, „Plotka”, „Blade 2”). Słowa: totalny kryminalista, bandzior i zakapior ma wypisane na twarzy. Jest porywczy, ale polubiłem go bardziej niż Pana Doskonałego.



Rick Grimes jest tak idealny, że wybaczają nawet zombie

Sezon pierwszy zaczyna się tym, że Rick budzi się w szpitalu po śpiączce, a na świecie jest już po wszystkim (podobnie jak w filmie „28 dni później” – mojej pierwszej recenzji do „MARGINESU” w październiku 2010) - zombie łążą po całej planecie, a jego uratowało jedynie to, że drzwi do jego szpitalnego pokoju były zastawione łóżkiem. Biegnie do domu, a tam nie ma nic i nikogo. Postanawia odszukać swoją rodzinę i spotyka na swojej drodze pierwszych nielicznych ocalałych i ZACZYNA SAM IM POMAGAĆ (!). Co z tego, że właśnie obudził się ze śpiączki, a świat jest opany przez zombie. On szybko się odnajduje w sytuacji i zaczyna sobie radzić, ba, on nawet zaczyna przewodzić ludziom!

Bardzo podoba mi się klimatyczna czołówka serialu, pokazująca rozbite zdjęcia bohaterów i opustoszałe, zrujnowane domy i miasta, z niepokojącą ścieżką dźwiękową w tle. Wszystko to jest okraszone zieloną radioaktywną kolorystyką. To wyszło im genialnie.

Serial polecam ludziom, którzy lubią napięcie, potrafią na serio wczuć się w postapokaliptyczny klimat taki jak w „Jestem legendą”. Ja się zabieram do drugiego sezonu (już 12 odcinków), a zaraz po nim z przyjemnością obejrzę kolejny (18 odcinków). Przy takim serialu, moja matura może poczekać.

Recenzja muzyczna

kastel

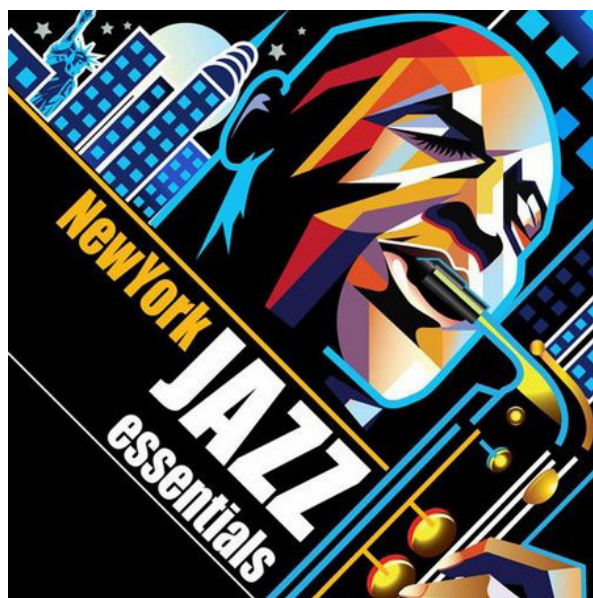
W TYM MIESIĄCU ZMIENIAMY KLIMAT NA INNY, ALE WCIAŻ POZOSTAJEMY WŚRÓD CZARNYCH RYTMÓW.

New York Jazz Essential

Co? Jaki Jazz?! Haha, beka z typa. To pomyślała większość z Was. Większość, bo reszta to hipsterzy. Ja sam osobiście jazz polubiłem już jakieś 5 lat temu. Zadymiona krakowska kawiarnia na rynku, z bardzo dobrą kawą, miłą obsługą, szalonym właścicielem i niepowtarzalnym klimatem. Tam to się zaczęło. Dziś jestem posiadaczem sporej kolekcji, a do pełni szczęścia brakuje mi pełnej kolekcji „Giganci Jazzu” „Gazety Wyborczej” (bagatela: 500 zł), ale jeżeli jest ktokolwiek, kto ma tę serię (w jakiegokolwiek postaci), jest proszony o natychmiastowy i pilny kontakt. Ostatnio przeszukując Internet w celu znalezienia potrzebnych plików do matury (nie gotowej prezentacji, nic z tych rzeczy), natknąłem się na tę właśnie płytę – New York Jazz Essentials. Pierwsze, co przyciągnęło mnie do tej płytki, to okładka. Ja jestem pusty w środku, nieczuły i wygląd jest dla mnie bardzo ważny, to zwróciłem na to uwagę. Okładkę, którą możecie zobaczyć obok, jest w lekko kubistycznym stylu. Jest elegancka i prawidłowo oddaje klimat muzyki oraz samej zawartości. Autorzy postarali się wyszukać jak najbardziej nowojorskie klimaty i dobrze im się to udało.

Płyta to pełna geografia Wielkiego Jabłka. Delikatny „Manhattan” E. Fitzgeralda, wesołe „Lullaby of Broadway” Doris Day, „The Brooklyn Bridge” Franka Sinatry, „Go Harlem” C. Webb oraz „Bronx Blues” S. Getza. Mamy tu na podsumowanie jeszcze dziki klasyk, rozpoznawany nawet przez przed-szkołaków. Louis Armstrong z jego nieśmiertelnym „What a Wonderful World”, „New York, New York” S. Bassey oraz w sam raz na aktualną porę roku „Autumn in New York” Charliego Parkera.

Krażek wypchany muzyką po brzegi (pełne 20 utworów) jest nowy i swoją



premiera miał 16 października tego roku. Oczywiście w Empiku pewnie go nie dostaniemy, ale za 5 funtów możemy go mieć pobranego z iTunes. Serdecznie i z czystym sumieniem mogę go polecić wszystkim słuchaczom z pewnym doświadczeniem w tym gatunku, ponieważ jest to bardziej musicalowy jazz. Nowy Jork to kolebka tego gatunku i ta płyta jest tego genialnym dowodem oraz nadaje się idealnie na długie, romantyczne wieczory przy świecach z matematyką (świece, bo prądu zabrakło). Dla tych, co chcą zacząć przygodę z jazzem, polecam bardziej czteropłytową kompilację „The Best Smooth Jazz... Ever! vol. 1”, dostępną w Empiku.

Dziennik nimfomanki

Film jak film, szalu nie było. Jak można się domyśleć po tytule, to jest opis przeżyć kobiety „chorującej” na seksoholizm. Nie rozumiem ludzi, którzy na to narzekają lub nazywają chorobą. Podobnie nie rozumiem tego bohaterka filmu szukająca osoby, która ją zrozumie (a przy okazji zaspokoi) i tak kolejno jesteśmy świadkami jej związków z różnymi

Recka filmowa

kastel

JA ŻEM MYŚLAŁ, ŻE TO FILM EROTYCZNY, A TO DRAMAT.

mężczyznami. Począwszy od pierwszego razu, aż do pracy w domu publicznym. Valere szuka miłości, a wszystkie przemyślenia, refleksje, wspomnienia skrupulatnie zapisuje w swoim eleganckim dzienniku. Oczywiście po 95 minutach w końcu wpada na genialny pomysł. Tańcząc w strugach deszczu i uśmiechając się szczęśliwie jakby nie wiadomo, co za dragi lub dropsy wzięła. Nie powiem, jaki to pomysł wymyśliła, bo po pierwsze zrobiłbym spoiler, a po drugie ten pomysł jest taki, że aż mi szkoda bohaterki, że tak późno na niego wpadła i tyle pochłonęło to czasu i ofiar w ludziach. Obraz powstał na podstawie autobiograficznej książki autorstwa francuskiej pisarki Valerie Tasso.

Ogólnie to ten hiszpański film naprawdę nie robi nic. Nie zwala z krzesel, nie podaje nazwy leku, którym się leczy tę ciężką do wyleczenia przypadłość (dla mnie suchy frazes „miłość” nie jest rozwiązaniem) ani nawet nie podnieca (aktorka Belen Fabra specjalnie urokliwa nie jest). Jedyne, co mi się tam naprawdę podobało, to jak Valerie wpisywała do dziennika, czym dla niej jest seks i to, co tam mówiła naprawdę było poruszające i pięknie opisane. Podobnie jej rozmowy z kochankiem Hassanem czy jej babcią – Marią były całkiem dobitne. Ale poza tym w tym filmie nie ma nic, co byłoby naprawdę ekstra. Premiera wywołała skandal i poruszenie w świecie kina, ale tylko, dlatego że było o parę minut nagości za dużo (Czy naprawdę wiecie, że w świecie kina są wyznaczone takie etyczne i kulturowe normy ustalające takie rzeczy? Na przykład finalny pocałunek nie powinien trwać dłużej niż 30 sekund i nie powinien być wykonywany w pozycji poziomej), ale swoimi wartościami (jakie w ogóle mogą być wartości w filmie o nimfomance) nie poruszył nic. To był wyłącznie skok na pieniądze napalonych, naiwnych nastolatków, myślących, że będą mogli zobaczyć Bóg_wie_co w filmie. Cholera, dałem się złapać!

